



Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



J. KADEN-BANDROWSKI

LEOPOLD
LIS-KULA

PULKOWNIK

320



G.

K.

W.



J. KADEN-BANDROWSKI

LEOPOLD
LIS-KULA
PUŁKOWNIK

320.



G.

K.

W.

JULJUSZ
KADEN-BANDROWSKI

LEOPOLD
LIS-KULA
PUŁKOWNIK



GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA
WARSZAWA 1937

92 (dis-Rule) : 355.48(438)
N

6695/1

MOWA GEN. RYDZA-ŚMIGŁEGO

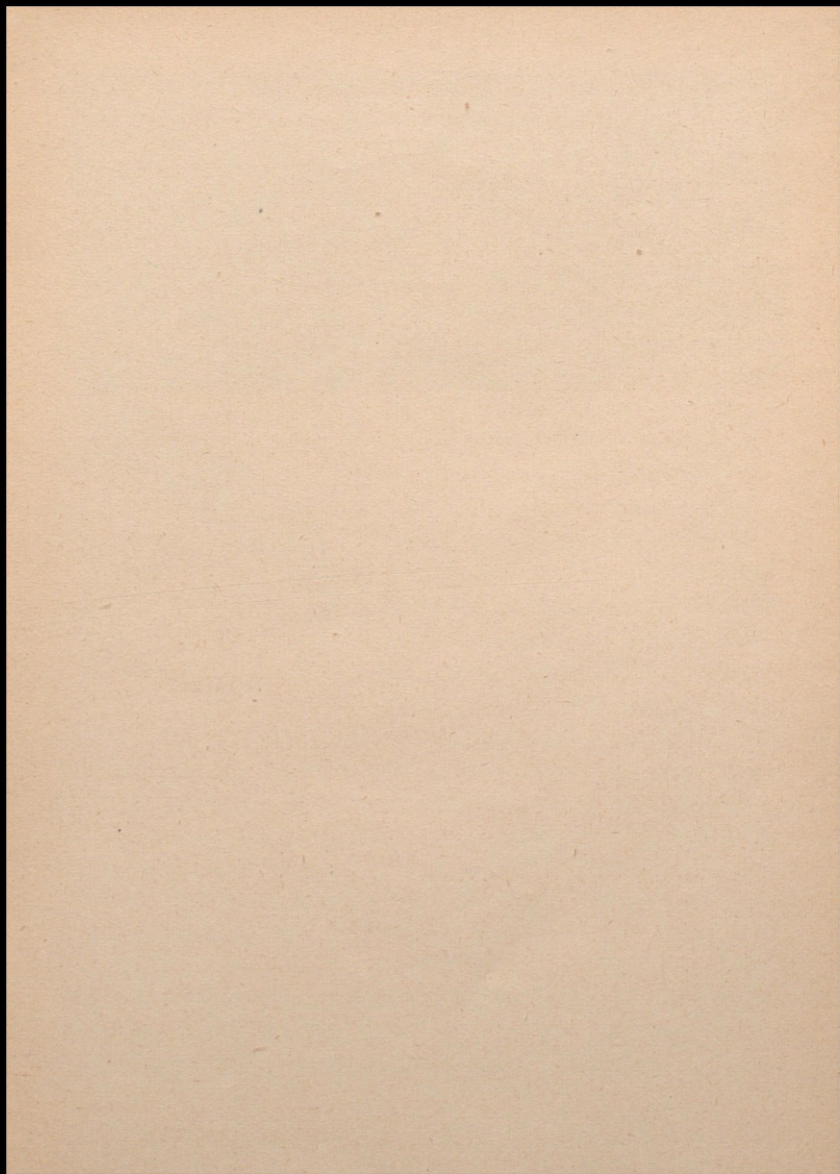
wygłoszona w Rzeszowie przy odsłonięciu pomnika ś. p. płk. Lisa-Kuli w dniu 18. IX. 1932.

„Oto wybrany został jeden z nas, jako łącznik między nami a przyszłymi pokoleniami, kiedy nas już nie będzie. Został wybrany jeden z wielu. Jakiż był stan służby tego wyjątkowego żołnierza? Strzelec-legjonista bierze udział we wszystkich walkach Pierwszej Brygady, potem w mundurze obcym walczy na froncie włoskim, później obejmuje kierownictwo P. O. W. i zostaje naczelnym komendantem P. O. W.-Wschód.

Walczy na Wołyniu, gdzie dnia 7 marca 1919 roku ginie bohaterską śmiercią. Wybitny, świetny oficer, uzdolniony niezwykle. Dlaczego on właśnie staje na tym cokole granitowym? Umrzeć za Ojczyznę — to wielka cnota, ale przecież i tylu innych zginęło za Polskę; dlaczego właśnie puł-

kownikowi Lisowi-Kuli postawiono ten pomnik? Oto dlatego, że właśnie on najwspanialej skoncentrował w sobie wszystkie cnoty żołnierza legjonowego. Polska wybrała właśnie postać płk. Lisa-Kuli, aby pokazać przyszłym pokoleniom, jakich miała żołnierzy. Lis-Kula trwał w walce, szedł na każdy posterunek z radosnym uśmiechem żołnierza, przenikniętego wiarą w swego wodza. Wierność aż do śmierci Polsce i umiłowanie zawodu żołnierskiego — to cechy charakteru ducha ś. p. płk. Lisa-Kuli. Daleki od egoizmu, zawsze skromny, przekonany, że jeszcze za mało dał z siebie dla sprawy, z pogodą w sercu i uśmiechem na ustach szedł radośnie naprzód.

Wznosząc ten pomnik ku czci jego pamięci, powodowaliśmy się nie tylko sercem, ale i rozumem i rozważą. Rozumiemy bowiem, że żołnierze o takich duszach, to filary naszej armji i naszych cnót: męstwa i honoru. Wybraliśmy go z pośród wielu po to, aby został po nas i trwał i mówił o wielkości cnót żołnierskich“.



PYŁKOWNIK LEOPOLD LIS—KULA
VR. 5-XI-1896 W KOŚCINIE POD
RZESZOWEM PADŁ 7-III-1919 ROKU
POD TORCZYNEM — STRZELEC LEGJO
NISTA PEOWIAK ŻOŁNIEŻ POLSKI
WE WSZYSTKICH PRACACH PRZYKŁAD CNO
TY W WALKACH WZÓR BOHATERSTWA



ZCZĘŚCIE dziś chodzi pokojami ojczywego domu, chociaż ten dom wstrząśnięty jest, złupiony i obdarty. Radość nam towarzyszy na wszystkich drogach, w zachodach naszych wszystkich i zabiegach. Radość tak lekka, czysta, jak lekkie jest powietrze wesołej wiosny. I wszędzie, dokądbyśmy szli, biegli, gdziebyśmy się kwapili — idziemy ku lepszemu...

Czy to, gdy nas troska obłoczy, czy, gdy nas mocny żal dosięgnie, czy, gdy pośpiechy nas opadną tak skore, iż oddechem i staraniem nadażyć im, zda się, nie możemy, — zawsze już teraz i te starania i pośpiechy i kłopoty mniejsze są, lżejsze, a ciągle radośniejsze od tych, które doniedawna wzruszały i trapiły myśl Polaka...

Bo stała się jedna rzecz — największa! Gdy doniedawna każdy z nas jeno skały i zawroty niewoli koło siebie miał, — teraz cudnem błonem wolności radośnie sobie oddycha... Gdy

doniedawna mitręga się mnożyła i musieliśmy być jak drewna darmo leżące, albo też musieliśmy się łamać z twardą srogością niewoli, — teraz każdy koła swe toczyć może wartko, ku coraz szerszym zasługom...

Bo stała się rzecz największa pośród wielkich, mianowicie — żeśmy wolność odzyskali! Przyniósł ją świat skrwawiony, strasznym gniewem wojny przedarty i zasię znów ku lepszej doli naszej wyrównany. Ale przynieśli ją także ci, co światu temu, po wielekroć wzburzonemu, kroków dotrzymywali, pomimo wszelkie przeszkody, zakazy i zawady, pod nogi ciskane raz po raz.

Przynieśli ją nam, lepkimi z boju i z trudu rękami, żołnierze nasi. Wśród żołnierzy zaś, — jak to przyznać każe i zawsze przyzna prostota wojennego serca, — pierwsi są ci, w których ręku najspieszniej oręż zawarczał. Ci, którzy pierwsi ziemię ojczystą skropili swą krwią.

Pamiętać ich należy, jak się w rozwoju wiosny pamięta pierwsze jej dni, jak w dostatkach lata pamięta się pierwsze gromy wiosenne.

Pamiętać tych żołnierzy trzeba nie dlatego tylko, że należy się im wdzięczność i podziękowanie wszelakie. Nie czas bowiem wpośród bojów na hołdy. Ale dlatego również, że z ich pracy i czynów bystra wystrzela nauka oraz wszelkie możliwe ulepszenie naszych kroków i działań. I, że wynika dla nas z ich pracy radość niezmienna: radość z tego, że byli, że są wśród nas zawsze wielcy i tędzy żołnierze!



Pułkownik Leopold Lis-Kula jako porucznik I Brygady Legionów

Wśród pierwszych, wielkich żołnierzy, nikt mi nie zaprzeczy, gdy powiem, iż najpierwszym był świętej pamięci pułkownik Lis-Kula.

Jak się stało, iż chłopaczek ten stanął na najświetniejszym miejscu pomiędzy wybranymi, jak się stało i kiedy, że posiadał wszystkie cnoty trudnej walki i nieustraszonego wytrwania?! I wszystkie rozumy, i wszelkie podstępny, i tak głęboką wiedzę milczenia, i tak straszliwy rozmach ciosu?! I taką niewyczerpaną siłę wiary, i tak cudowną cnotę wierności, — tego nikt nie wie, ani wiedzieć nigdy nie będzie...

Nie można inaczej rzec, jak tylko, że cnota sobie w tym chłopaczku gniazdo uwiła najlepsze i że krótkie a śliczne życie tego żołnierza popłynęło przez losy Ojczyzny, jak jasna woda leje się po ziemi — szeroko i żyźnie.

Pochodzenie, warunki, w których się wychowywał, były proste i zwykłe, jak każdego z nas. Może nawet mniej dobre, może nawet trudniejsze, bo w niemałym ubóstwie i małoznaczących okolicach przeszło mu całe dzieciństwo.

Szczęśliwy jestem, iż o tych czasach bohaterskiego pułkownika mówić nie potrzebuję sam, ale poradzić się mogę kochanych, prostych słów jego matki.

„Po stracie mego najukochańszego syna — pisze matka — chciałabym wam podać szczególny talent jego wojskowości. Będąc jeszcze dzieciną, kiedy mu dziadek Czajkowski (to jest mój ojciec) dawał kropidło i szablę, najchętniej dzie-

cina chwytala za szablę. Kiedym go myła zimną wodą, to z lękaniem dziecinnem przyznawał, że jak będzie żołnierzem, nie będzie się zimnej wody bał. Zabawki jego zawsze wojskowe, zawsze komendantem między swoimi pięciu braćmi, a chociaż wszyscy tak są wielcy wzrostem, on ich zawsze przewyższał we wszystkim i do zadziwienia słuchali go. Począwszy naukę w szóstym roku życia, był zawsze chwalebny w nauce i obyczajach. Zamiłowanie jego wiedzy historycznej było ogromne, do jedzenia nie można go było oderwać od książek, a już rozszarpanie Polski nie było mu obojętnem. Głęboki wzrok du-

 <i>Comandant</i> M. Szela Sztabu <i>M. M.</i>	NAZWISKO (imię	LIS- KULA Leopold		
	URODZENIE miejscowość	Rzeszowie / Galicja /		
		11/XI- 1896		
	Stan	Wolny		
	Data miejscowość			
Z. jakie armii	Legiony Polskie			
NOMINACJE	Data	Nr. rozkazu	Szczegół	
	listop. 1918	536,	Major <i>Jan P.</i>	

Legitymacja pułkownika Lisa-Kuli jako majora Wojsk Polskich

żyh niebieskich oczu za niego odpowiada i widziało się, że jak dorośnie, to złe wytepi, a wszystko dobre zaprowadzi“.

Leopold Kula urodził się w roku 1896 w Kosinie, między Łańcutem a Rzeszowem. Ojciec jego, Tomasz, był podurzędnikiem kolejowym i, jako taki, pracował na stacji. Matka, Czajkowska z domu, z rodziny tego emira Czajkowskiego, który ongi formował legjony... Z tych Czajkowskich, którzy, jak pisze sama — „*dobra swoje opuszczali, tracili, a pracowali w sprawie Polski*“. Zapewne, że wspomnienia tych zasłużonych dziadów i ojców dźwięczeć musiały w dzieciństwie pułkownika; ale ileż razy ten dźwięk zgłuszony być musiał codzienną troską o byt ubogiej rodziny...

Kto znał życie galicyjskie, ujęte w kluby austriackich rządów, ten wie, jak życie to zamknięte było i uciśnione. Przez wszystkie stopnie galicyjskiego bytowania piętrzyła się wysoko, aż pod nudny majestat cesarsko-królewski, sucha i wyszłizgana od tysięcy rąk, które się stopni jej czeptały drabinka — a na każdym jej stopniu trudził się Polak ubogi, kopiąc niecierpliwie wdół swego bliźniego i tęsknie dogóry wyciągając ręce. Jakże olbrzymi ciężar gwiazdek i złotych kołnierzy musiał być tłoczyć najskromniejsze poruszenia podurzędnika, liczną rodziną obarczonego! I cóż tej rodzinie było wolno więcej wiedzieć o świecie, niż to, co się znajduje między jedną zwrotnicą stacyjki Kosin a drugą?...

W Kosinie uczęszczał więc malutki Poldzio Kula do szkoły normalnej.

W takiej szkole „normalnej” uczył się ówczesny Polak czytać, pisać, rachować, a gdy miał osiem lat, musiał umieć po niemiecku — „ich bin jung, du bist stark, er ist gesund”. A gdy miał lat dziewięć, z fularową krawatką na marynarskiej bluzeczce, śpiewał pod koniec roku na popisie całe „Boże wspieraj” aż do ostatniej zwrotki: — „Przy cesarzu mile włada cesarzowa, szczęścia kwiat”.

Gdy dzieci już podrosły, przeniosła się rodzina Kulów do Rzeszowa. Tu zaczął Poldzio chodzić do gimnazjum, które również urządzone było, jak wszędzie w Galicji... To znaczy w ten sposób, aby młodzi chłopcy mogli z niego wyjść gładziutko, jak weszli, do uniwersytetu, a stamtąd na urzędników, a stamtąd gładziutko na adjunktów, i aby się stali cesarsko-królewskimi radcami, i aby wkońcu gładziutko poszli na emeryturę.

„Już od piątej gimnazjalnej prowadził wszystko poważnie — pisze matka pułkownika — Każde jego słowo takie było stałe, że żaden kolega nie miał odwagi jego zdania lekceważyć. Owszem, kochali go i słuchali wszyscy, a sam, dwa lata przed wojną, chwili nie tracąc, robił nocne ćwiczenia, obiegał okolicę, zachęcał młodzież. Z rana przyszedł obłożony, czyścił się i do klasy, po południu nauki, lekcje i znów na noc na ćwiczenia, mało kiedy spał”.

„Ja zaś — pisze dalej matka — wiedząc hi-

storję swoich dziadków Czajkowskich, widziałam w mym dzieciaku ich podobiznę i kochałam go więcej“.

Zaiste, odżyli dziadkowie Czajkowscy i różne stare podobizny, w sercach głęboko pochowane, odnowiły się i otwarły się rzeczy zapomniane i jał się w wielu duszach szum daleki — jak w muszlach... Nie z pustego powietrza wziął się ten szum i nie z przygody składanego przypadku odnowiły się prawdy wyblakłe, ale wionął ten wieszczczy szum z morza cierpień polskich...

Staął bowiem na ziemiach Małopolski (zwanej w Austrii Galicją), zrazu we Lwowie, potem w Krakowie, potem wszędzie, gdzie tylko tu się ogień prawdy krzeszał, — stanął na tej ziemi wielki Wygnaniec, który przyniósł tajemne słowa, wyratowane z najsroźszych prześladowań i nawet w mrokach Sybiru nie zamarzające...

Słowa, które luzem dotąd po Polsce latały, a teraz znów przez Niego we wspólną pamięć stać się miały związane. Człowiek, który żadnego nie zasypiał czasu, ale budził życie, niecił odpór, do oręża zagrzewał, do walki gotował, do czynu sposobił, do Związków Strzeleckich przygarniał, powstanie niosąc w zanadrzu.

Człowiekiem tym był Józef Piłsudski. Za jego sprawami młodzież bronią jeżyć się poczęła i za jego przyczynieniem nadzieja wolności stanęła u powalonych wrót naszego domu niewoli.

Z tych czasów zda się pochodzić pierwszy pseu-

donim Leopolda Kuli, pierwsze godło i sławne później zawołanie czynów, mianowicie „Lis“.

Nazwa ta wywodzi się jeszcze z drużyn skautowych, w których, jak wiadomo, panuje obyczaj drużyny imionami wielkich ludzi, zastępy zaś imionami zwierząt mianować. Otóż pod nazwą przemysłnego lisa, Leopold Kula, z drużyn skautowskich, jako szesnastoletnie chłopię wdał się w oddziały strzeleckie, aby nazwę Strzelca Polskiego, tych czasów wielkiej wojny światowej nigdy niezapomnianych, — wiecznym urokiem i wdziękiem otoczyć.

Strzelcem musiał być bardzo tęgim i odpowiedzialnym, skoro wkrótce został pomocnikiem komendanta okręgu rzeszowskiego. W tym charakterze, już jako oficer, wszystkie szkoły hartowne Piłsudskiego przeszedłszy, wedle słów matki — *„w pierwsze dni wybuchu wojny ze swoimi kolegami z Rzeszowa wyruszył, żegnany jakąś wielką nadzieją pociechy“*.

Jeżeli każdy czas ma swoje własne, sobie tylko właściwe wyrażenia i w słowie i w tonie i w modzie, w obrazie i w uczuciu, to najlepszym wyrażeniem Polski naszej ówczesnej będzie właśnie młodociany oficer Legjonów, Lis-Kula. Jeśli któryś inny naród, na przykład Rosja, wyraża całą siebie w postaci jakiegoś Ilji Muromca, o przemocnym kułaku, a inny naród żeglarza ponad wszystko wynosi, a Niemcy w krzyżaku doskonałość swą widzą, a Francuzi i wolność swą i męstwo junackie w postaci rycerskiej

dziewczyny, Joanny D'Arc, ujrzeni, to dla nas, bez żadnej krzywdy czasu, o którym mowa — starczy Lis!

Gdy sobie szedł, gdy śpieszył na czele młodziutkiego oddziału przez złotą skibę kielecką, wysoki nadmiernie i gibki, w szarej skromności strzeleckiego odziewku, krótko postrzyżony przy skórze, niczem kret... Cery smukłej, o blasku niebieskiego oka miękkim, lecz nieustraszonym pod cienkimi łukami brwi, o ustach małych, pięknych, zwięzłem obdarzonych słowem... Gdy szedł rozkołysany, a ręce długie same mu się z przykrótkich rękawów munduru we świat rwały... Gdy szedł z blaszanem godłem Piłsudskiego na czapce, wesoły, jak dziecko, posłuszny Wodzowi we wszystkim, we wszelkim rozkazie brat, w każdym strofowaniu opiekun, w każdym trudzie pańszczyznę wojny na siebie biorący, najuboższy w pośród tej armji, która i tak już sama była najbiedniejszą ze wszystkich armij świata. Zaczął na wojnie od swojej kompanji rzeszowiaków, w VI-ym bataljonie I-ej Brygady, pod dzielnym i trwałym kierunkiem druha swego, a zarazem dowódcy VI-go bataljonu, pod kierunkiem świętej pamięci majora Albina Fleszara. Ale jakgdyby zawsze tak być miało, iż to, co najgłębsze jest — najwięcej wycierpi i przez największe przejdzie gąszcza! Bowiem, gdy inne bataljony Brygady zaraz się ze sobą związały i wkrótce w pułki strzeleckie zrosły się i tem samem zdobyły własne ogniska, własne nieodebra-

ne gniazda sławy, własne rodziny, własne domy wojenne, — VI-ty bataljon niby na koszu osiadł, w domach tych miejsca już nie znalazłszy... A potem znowu, gdy Austriacy chcieli, w myśl trzybataljonowych pułków, wlepić V-ty i VI-ty bataljon w skład istniejących już pułków legjonowych — bataljony V-ty i VI-ty (Olszyny i Fleszara) wielkim zawołały głosem do Komen-danta, by ich nie wcielał teraz, gdy sobie już własną sławę wygrzały, żyją nią i nadzieję mają sławę tę we własnym pułku pod liczbą „siedem“ wspólnie złożyć.

Ale los znów nie poszczęścił, bo, nim się 7-my pułk zrastać zaczął, Legjony się rozbiły.

Jakaż to była własna sława VI-ego bataljonu i ileż w niej miały do czynienia zasługi Lisa?

Gdy innych śmiertelną, lecz najślawniejszą drogą bajecznego marszu wskroś nieprzyjaciela z Uliny pod Kraków wiódł sam Wódz, pieszo w szpicy idący, — tyś się, bataljonie VI-ty, strzępił i targał na piaszczystej wydmie beznadziejnego szturm pod Krzywopłotami...

Gdy na innych walkę i śmierć patrzą oczy Wodza... Gdy inni wojują w zgiełku rodzimej swady... Na twoją walkę i śmierć nikt nie patrzy lub gorzej, bo pozierają puste oczy Austriaka... Wojujesz, niechęć obcych mając po bokach.

Tak przecież było w maju 1915-go roku w Kieleckiem, pod Wszachowem, Baćkowicami, gdzie arcyksiążę w skórę brał, a zdaleka od swego Wodza, ręką Jego rzucony, krwawił za tego arcy-

księcia VI-ty bataljon, latając jeszcze głupstwa jakiegoś księcia Parmy i odżegnywując się potem dumnie od całego deszczu orderów. Gdy inni ciemną jesienią, po półrocznym boju i marszu, legli w mokrych okopach, ale przy Wodzu swym, i żyli z nim pod Koszyszczami zapanbrat, tyś był rzucony, poprzez złamane kolano Styru, śmierci w gardło, na Kukle, Jabłonkę, Kamieniuchę, i zgrabiałą, krwawą ręką odpychałeś Rosjan, gdy już nawet Niemcom tchu zabrakło i gdzie ich piechur legł skoszony, rozwaliwszy bezradnie ramiona...

Tak to, największego trudu, a zatem największej chwały pełna była czara własnej sławy VI-go bataljonu.

Zasługi Lisa w tym bataljonie jego macierzystym?

Wszystko, co tylko zmienić, co tylko unieść może i objąć dumna cześć oficera nieustraszonego we frontowym dowództwie i w służbie frontowej... Wszystko także, co złożyć się może na zasługę oficera armji ciągle kuszanej, ciągle mamionej, ciągle prowadzonej przez wroga podstępem ku wyłamaniu z ram honoru...

Lis-Kula odznaczył się świetnie w roku 1914-tym podczas szturmów pod Krzywopłotami, jako dowódca kompanji wzbudził powszechny zachwyt w roku 1915-tym w bitwach pod Wszachowem i Żernikami. Tego samego roku na Wołyniu, właśnie w najcięższej chwili, gdy się inni już wykruszyli, wymarnowali, prowadził pułk i do-

konał, sławą się okrywając ogromną, nieprawdopodobnych szturmów na Jabłonkę, Kukle i Kamieniuchę.

Po walkach tych pojechał porucznik Lis-Kula do kraju na uczniowski urlop, — zdawać maturę. Należy ciągle pamiętać, że ten mąż bojowy, nieulekły, że ten dowódca nieugięty, — podług lat swych ilości, tak pięknie ku sławie wstępujących, — był chłopięciem zaledwie. Czasy wolne, gdy wojsko stało na leżach lub na odpoczynkach, najchętniej spędzał na zabawach, na grach sportowych i najulubieńszej — w piłkę nożną.

Wtedy ustawało wszystko: to że jest wojna, i że jakieś szarże są i że jakieś niepodległości wygnane pokutują za bramą złych Narodów... Wtedy wśród szumiącego lasu Wołynia, w czworoboku, ustawionym z osędziałych wojaków, pod przekornym patronatem Komentanta, za piłką, jak głośna kula radości wyskakującą z pod nóg, w gromadzie towarzyszy kolorami drużyny sportowej kratkowanych, — pierwszy gnał Lis. A cała piechota, przeciwko artylerji grająca, w niezachwianej ufności do długich giczałów Lisa krzyczała, chcąc przyspieszyć zwycięstwo: — Lis — vor! vor! vor! — Lis — szpur!

Więc Lis brał tym jedynym lisim „szpurtem“, gdy tymczasem z ukośnego nieba lotnicy rosyjscy ciskali bomby na boisko.

Tak grało się ostatni raz przed bitwą pod Kostiuchnówką, w której znów Lis stanął między

pierwszymi, choć pierwszeństwo w tej bitwie okupić trzeba było cnotą nieomal nadprzyrodzoną. O bojach arjergardy które tam prowadził, opowiadali żołnierze po bitwie z wrzaskiem zachwytu. Jak ich, już nieprzytomnych od straszliwego ognia ciężkiej artylerji, trawionych pragnieniem, przeżartych dymem, omdlałych z głodu, zbierał... Jak ich za pozycjami, przed Laskiem Saperskim wyciągnął w linję i jak na dziesięć kroków w ciężką masę rosyjskiej piechoty spokojnie sypał salwami.

Po tej bitwie, w czas jakiś Legjony ściągnięte zostały do kraju, a Niemcy i Austriacy rozpoczęli o nie grę hazardowną. Ten, tamten i ów, wszyscy potentaci, którzy do tej gry zasiedli, potworzyli specjalne mądrości, mocą których miano żołnierza legjonowego z przetargu kupić... Wyglądało wtedy, jakby honor wojskowy był zabawką czy gonitwą z zawiązanemi oczyma w ciuciubabkę. Z przeróżnych stron dokładano do tego jeszcze rozmaitych mocnych przypraw, niby że tego żąda kraj, a owego kraj nie zniesie, a tamto znów szkodzi mu bardzo...

W przeprawach tych i gadaniach ogromnych a niebezpiecznych, Lis trzymał się, jak mało kto. Napróżno wszelkie krasno-mędrki łuskały słowa najpodstępniejsze. Kapitan Lis znał wagę rzeczy, przedziwnie ją rozstrzygał młodziutkim swym umysłem i głos jego zawsze ku dobremu ciążył. Aż wreszcie pękły Legjony. Jedni poszli za drutami Szczypiorna w gorzkim poniżeniu dawać

codzienne świadectwo prawdzie, drudzy, jak towar gruby w wagonach upakowani, odesłani zostali do fortecy przemyskiej, pod czujne oko Niemców, Czechów, Madziarów i Rusinów.

I tu, w tym czasie ciągłego obrzydzenia, dreszczu, zgrozy, gdy koła posłów zasiadały w Krakowie, ale mąt się tam czynił w naradzie, a żołnierz polski równocześnie rozpełzał po wzgórzach przemyskich i już miarkował miejsca, z których rzuci się na miasto, by wszystko pograżyć w krwi swojej zrozpaczonej, — tu w tym czasie odpraw ponurych, upartych, niesamowitych — był Lis, jako gałązka oliwna, nad przepaścią spustoszenia kwitnąca.

Tyle w nim było serca, rozumu i spokoju.

Tutaj więc okazało się już na pewno, że rękę tego rycerskiego młodzieńca porusza stałość męża i rzadka, niebywała cnota wodza.

Od wpędzenia resztek żołnierzy Piłsudskiego we wrogie szeregi austriackiej armji zaczyna się wielkie i piękne Lisa pielgrzymstwo.

Ja dziś kilkoma słowy zaledwie sprawy tej dotykam, ale kiedyś szeroko powinno to być wysławione na piśmie, aby się dowiedzieli wszyscy najdowodniej, jak pięknemi w pielgrzymstwie tem zakwitnął Lis sprawami, jak go nic nie zwiodło z wybornego posłuszeństwa, jak chwili żadnej nie dał darmo przepłynąć, jak cudnie prowadził cały ten huf młodości polskiej, jak w tej bolesnej żołnierstwa bezdomnego przygodzie najpierwszy między pierwszemi sływał, dobraw-

szy się robotą swą nieustraszoną do skarbów wiecznej chyba zasługi.

To on wtedy przecie był wyręczeniem i prawą ręką generała Śmigłego. On, jeszcze w odznakach sławnego oficera polskiego, przywiódł zastęp zrzuconych z urzędu oficerów legjonowych do 12-tej dywizji austriackiej i zdał tam siebie wraz z nimi więzom austriackiego rozkazu.

Tego może już dziś nie rozumiesz, ty, któremu służba tak poprostu jest przepisana, jak zdrowemu jadło. Ale wówczas spokojność słabego Narodu wymagała poddania się, a tylko niewiadomo było, jak to poddanie ma przełknąć honor żołnierski?!

Lisowi to było wiadomo. Zaszczytne odznaki żołnierza polskiego spruł, przeobłął się z łatwością w austriackie wory, jajecniczkę feldfebla przyklepił na kołnierz — i dał przykład innym, jak trzeba okazać prześladowcy swój honor, a jak potem, czasu nie tracąc, odejść należy do własnej roboty... Przeszedłszy przy froncie włoskim szkołę w bataljonie szturmowym (bo wogóle wiele się uczył i w dziedzinie wiedzy woj-skowej do powag mógł się zaliczać), ruszył na front. Wziął tu udział w bitwie pod Cordellazzo, gdzie prowadził, ku zachwytowi samych Włochów przez niego obleganych, szturm na blok-hauzy. Tu został ranny granatem ręcznym w wielu miejscach swego ciała i na leczenie wrócił do kraju.

Leczenia tego było na bardzo krótko. Z nieza-

mkniętymi jeszcze ranami, poderwał się zaraz do wielkiej, zdawało się, beznadziejnej roboty peowiackiej na wschodzie. Skoro już w kraju ani miejsca pewnego, ani tchu, ani pory, — jechać zagranicę, z rozbitków odsiecz zbierać, z odsieczą do kraju pędzić umyślił.

Tak, jak to jest zapisane w ewangeljach niewoli polskiej od stu lat.

Biegł na Ukrainę, na wschód, ciągniony sprawą tworzenia się tam sił polskich. Głośno już wtedy było, że się w okolicach Bobrujska wojsko nasze ściga i osadza. Żywa wiadomość szła, że docna rozlatuje się moc rosyjska, a jakżeby to miało być, żeby się przy tem rozleceniu nie znalazł chłopiec polski, któryby zaraz broń pozbięrał, dobytek wojenny zładził?! A jakżeby to miało być, żeby się tam nie znalazł zaraz ten, który, — jak prędką, nieomylną pomstą za grzechem, — z mieczem za prześladowcą Ojczyzny stale chodził.

Wybrał się tam Lis samotrzeć, z Miedzińskim i z Schaetzlem, w początkach lutego. Przydarzyło się im, jak zawsze w tych czasach, gdy się wrogi nasze z sobą żarły, że się nasi dostali pomiędzy trzy ściany ruchome...

Od Brześcia walili Niemcy, od Zbaraża sypały Austrjaki, gdzieś zprzodu chwiała się rosyjska ściana. A nasi wobec tego wszystkiego, wobec trzech bałwanów wzdębianych — niby czółenko małe, prędko pójda naprzelaj.

Wyszli o 6 rano, w charakterze chemików wojsko-

wych, szukać zmyślonego „Feldlaboratorium“ Nr. 41. Minęli „posty“ (czyli posterunki) niemieckie, dotarli do Zbaraża, meldując się tu u dzielnych Bernardynów na umówione słowo „ul“. Stąd, w list zacnego gwardjana zaopatrzeni — do Sieniawy.

A Niemcy wciąż walą od zachodu, a Austriacy wciąż sypią od południa...

Naszym jedno tylko w głowie, — maszerować tak prędko, aby doścignąć wysuwające się armje i hycnąć na tamtą stronę, tam jajecznickę feldfeblowską z kołnierzy zrzucić — i szukać swoich. Ale nasi ani map nie mają, ani odzieży odpowiedzialnej, ani wypoczynku, ani swobody poruszeń...

Idą.

Pod Wiśniowcem drogi rozstajne widzą. Brać się w lewo na wschód — to już miną słupy graniczne dawnego kordonu. Tylko — za widno jeszcze, a już wszędzie i wsie i drogi zajęte, warty stoją, chrząkają, nosami ciągną, czuwają.

Wtedy przywarowali w okopie, w dawnym okopie wielkiej wojny. Śnieg białymi batami wciąż zacina, a tu niczem zając w brózdzie, w brózdach tego pługa strasznej wojny siedzi trzech polskich oficerów byłych, teraz oto dziadów, niewiadomego szeregu szukających...

I cieszą się, że tak szczęśliwie przycupli!

Przechodzi ciężka noc tego miesiąca lutego. Gdzie iść?! Żadnemi drogami, mimo żadnych do-

mów i zdala od wszelkiego życia ludzkiego, bo wszystko ono — jest twój wróg.

A Lis w najlepszym humorze powiada: — Iść na przelaj, według gwiazd!

Więc idą według gwiazd, ziemia zwierzchu zmarznięta, ale od spodu błoto stopy w siebie wsysa i tu i tam i owdzie pokazują się blaski pistoletów świetlnych, aż oto znów stanęli przed słupami granicznymi...

Kołowanie, błędzenie — jakby już z tych słupów wyjścia miało nigdy nie być...

Nareszcie szczęście się im przychyliło, wybrnęli. Po drodze ubiór zamienili i potem parli naprzód wśród żywych okrucich polskiego życia, ścigającego się w tem rozbiciu — przez Płoskirów, na Chmielnik.

Tu serce Lisa, w Chmielniku, otwarło się i uniosło niewypowiedzianą radością, tu bowiem spotkał zapuszczony w morze bolszewickie oddział jakichś ułanów polskich, a było to pierwsze wojsko polskie, jakie od czasów kieleckich znów ujrzał zbrojne i regularne, w żadnym „Verbandzie“ (czyli związku) z obcą siłą nie będące.

Lis sunął naprzód przez Chmielnik, Winniki, Jampol. Kołatali się we trzech z Miedzińskim i Schaetzlem na „bidzie“ dwukołowej, w ślepaki zaprzężonej, bogaci w krzywą chleba i trochę cukru. Dodać do tego należy, że społeczeństwo wszędzie tu czego innego chce, niż ci mu wiozą... Lis im wiezie walkę na śmierć z „centralnemi“, (to znaczy z Niemcami i z Austrią), a ci tu ręce

dogóry wznoszą i powiadają, niech przyjdzie djabeł, czort, byle się już od bolszewików odżegnać. A owi znów słyszeli coś, co się rok temu działo, a dziś już łupiną jest i nic nie znaczy — ale miały tę łupinę, i żują, i wypłuć za nic nie chcą... A tamci jeszcze gdzie indziej ciągną i przeciągają sobie na swoją stronę wielki kredyt Lisa, w Piłsudskim ufundowany, jedni w prawo, drudzy w lewo.

Lis się świadczy więzieniem Naczelnika w Magdeburgu. Mówi w Odesie, żeby się teraz za robotę brać, zbierać pieniądze, ciulać broń, nogę „Centralnym“ podstawiać, potem ze wschodu do domu z siłą wracać.

Kraj powstanie od frontu, a my stąd wroga od tyłu zahaczymy...

Nikt nie słucha.

Potem zjawił się ze swą robotą w Bobrujsku.

Wielkie twierdze, wielkie zapasy, wielkie woj-ska, — a tu zjechało pocichu coś ogolonego, oberwanego, wyrośniętego nadmiernie, — to nasz Lisek!! W za krótkim szarem ubranku, tak wytartem, że na świat patrzeć można było przez nie swobodnie, w szarej, zatłuszczonej cyklistówce, niby Anglik, zamorski obieżyświat, nieszczęśliwej naszej wolności niestrudzony komiwojażer. Przysłał tu za jakiegoś urzędnika: rano jest komisarzem cywilnym, po południu za sklepikiem w alkowie otwiera swój „urząd“ peowiacki. I zaraz ściągają się z najdzikszych końców świata różne oberwane „sportsmany“, w samym zaś kor-

pusie lepi się co mocniejsza grudka do grudki... Na wieść o rozbiciu korpusu Hallera, Lis zrzuca przebranie, melduje się u generała Dowbora i znowu jest w mundurze. To on, Lis, ma przygotować tę pierwszą pięść, która stąd na Niemców spadnie: młodziutki ten oficer, we wszystkich trybach wojny wydoskonalony, rozpoczyna ćwiczenia legji rycerskiej na wielkiem błoniu za kutaiskimi koszarami twierdzy bobrujskiej. Zapewne ze wszystkich nich był tam najmłodszy, ale któryż inny tyle miał w pracy rozmysłu, tyle w sobie stałości z prawdą połączonej i tyle sławy, tak godnie nabytej?!

Tymczasem jakgdyby się lato rozpoczynało, czy już wiosna kończyła przedwcześnie, stara, pełna suchych oddechów żaru i kurzu. I jakby razem ze żmudą dziwnej pory szły zewsząd ciężkie chmury wojsk niemieckich, pierścień dokoła korpusu polskiego zaciskających.

O zmroku, w przeddzień nieszczęścia zaroilo się w ogrodzie pod jabłoniami, przed domkiem Lisa. Zeszło się znów tych kilkudziesięciu, w rozmaitych mundurach, z rozmaitych broni... Tych kilkudziesięciu, którzy coraz, coraz zjawiają się w Polsce, jako Konfederaci, jako Podchorążowie, jako demonstranci, czy uczniowie z Cuneo, jako peowiacy, — polscy powstańcy. Wyznaczony już był plan walki i uderzenia, a potem, aby jeśli ulegać, — z honorem ulec, — wysadzenie fortu Wilhelma z 20.000-mi pudów piroksyliny.

Przewalała się ta noc, okrutnie umajona samo-

bójstwem szlachetnego oficera Gielniewskiego, który broni złożyć nie chciał a posłuszeństwa wymówić nie mógł. Przewaliła się ta noc, w której tak wiele było po jednej stronie — cały przecie prawie korpus polski! A tak malutko po stronie Lisa...

Jakby po jednej stronie była moc Goljata, a po drugiej śmiałość Dawida, — gotowe do zapasów wiekopomnych.

Niemcy zawładnęli korpusem polskim, ale Lis ani na sekundę ducha nie stracił. Rzekłbyś, nie się nie stało, wydarzenie przytrafiło się mało-ważne... Miał ten wódz młodociany nieustającą w sobie łaskę poczynania pracy i planu. Polska zaś w sercu jego nie składała się ani z korpusu, ani z korpusów, ani z wojska, ani z przegranej, ani z wygranej, — ale tylko z ciągłej pracy życia. Kazał swoim natychmiast przedzierać się do Kijowa.

I znów ruszyli, naprzęłaj, daleko od siedzib wszystkich — według gwiazd.

W Kijowie była wtedy Sodoma, Gomora i Babilon: całe tłumy różnych dziwacznych ministrów, sztaby morskie, osiadłe na mieliźnie miejskiej, zwarjowane mundury najdziwniejszych rozbitków, a ponad wszystkim żelazne wojsko niemieckie, kłamliwemi świstkami głoszące temu miastu, że Niemcy już wkroczyli do Tyflisu... W tem nowem gnieździe żelaznego wroga, jak czerw w ukryciu, załagał się Lis z tajemną swą robotą. On pierwszy nawiązał tu rzecz z przed-

stawicielem Francji i koalicji, świadcząc się siłą polskiego gniewu i buntu. On tu najlepiej i najprościej zganiać znów jął w gromadę wszystkich żołnierzy-tułaczów, wiążąc pracowicie twarde guzy szerokiej sieci peowiackiej.

On pierwszy jął odrywać, a potem tłuc, a potem rwać żelazne ścięgna połączeń kolejowych niemieckich, że raz wraz, gdy zdyszane korpusy niemieckie chciały biec na ratunek Hindenburga, — coś się w przekładniach drogi żelaznej psuło, gmatwało, ogień kruszył mosty na charkowskiej linii, na korosteńskiej, berdyczowskiej, między Fastowem, a Białocerkwią, nawet na samym dworcu w Kijowie...

To konspiracja, nieugięty duch Lisa, to wzbity ku górze płomień jego myśli rwał te przesła połączeń i dróg!

Szare włóczęgi ze zmiażdżonych niedawno przez Niemców polskich wojsk, zdziczałe leguny, obieżysasy peowiackie i „sympatyczne“ cywile znów się znalazły w niezawodnym ręku. Lis lawirował nieustannie. Tropiony i ścigany, przenosił Naczelną Komendę z miejsca na miejsce, aż wreszcie na plażę, skąd, niby słońca i wywczasów na piaseczku zażywający, — dowodził całą akcją.

Bieda straszliwa, w której się to całe wojsko tak dzielnie prowadziło, nie przeszkadzała Lisowi umiejętnie wykańczać swego wielkiego planu. Łączył się tedy skwapliwie z krajem i dowódcą swym, Śmigłym. Wiedział, że lada godzinę kraj wybuchnie. Podsuwał przeto, jak mógł, a zawsze

niestrudzenie, materiał wojenny coraz bliżej od wschodu ku zachodowi, przygotowywał też i ściągął ku tym stronom oddziały partyzanckie. Równocześnie przenikał znakomicie między Polaków, rozrzuconych pośród wojska austriackiego. Już nawet pod Winnicą trzymał dla swych żołnierzy kwaterę konspiracyjną. Mieli tu bowiem, rzekomo dla wyrębu lasu, siedzieć, jako robotnicy.

Tymczasem państwa „środka“ zawaliły się jeszcze wcześniej, niż przypuszczano. Każda chwila była droga, czas roboty głośnemi pięściami walił do drzwi.

Już się gotują... Pułkownik Rybicki pójdzie dawną granicą galicyjską, między Płoskirowem a Podwołoczyskami, Lis zaś na rozkisłych, gnuśnych rozłogach wzgórz koło Radziwiłłowa wyczyni dywersję...

Róbże dywersję, gdy ci cały pociąg z bronią w ręce Ukraińców wpadnie! Róbże dywersję, gdy już na żadną broń liczyć nie możesz, bo się Niemcy z Austriakami w Radziwiłłowie pożarli, wszystkie straże są w ruchu i tyle tylko mieć możesz, co w nocy pośród rozgardjaszu wyląpiesz...

Jakże tu w piersi Lisa, ze szczupłą garścią ochotników od Radziwiłłowa ku Brodom idącego, pokutować musiały te hasła, które tak szczytnie głosił podczas pielgrzymstwa swego od Zbaraża, tylim światem, aż do Odesy!...

Dnia 11 października 1918 r., nakazał koncen-

tracę swych chudych plutoników w lasach pod Klekotowem. Tutaj gryzł się i szarpał parę dni z nadzorem niemieckim, z przewagą ukraińską, z bałaganem austriackim. Z jednych lasów przechodził do drugich, układając wciąż plan zajęcia Brodów. Zmuszony do walki, wystrzelał całą amunicję, potem rannych odstawił, a żeby jeńca jakiego oddał ze swoich, mowy nawet nie było! Potem z tej całej burzy ogromnej ów mały oddział, takim znojem uciulany i takim męstwem ocalony, puszczał cichutko, żołnierza za żołnierzem, pojedynczo, napowrót, żeby się przez Równo przedzierali ku Królestwu i tam do walki stawali. Z ludzi tych powstał szturmowy bataljon Lisa, bataljon najlepszych tygrysów, którym w kilka miesięcy później los wojny na śmierć dowódcy patrzeć kazał.

W samych Brodach, tem smutnem mieście, gdzie ślad dawnej powagi licha nowizna na każdym kroku trawi, gdzieś przy cukierni, czy pod figurą Mickiewicza, — został Lis wzięty przez Ukraińców.

I wtedy dziwna się rzecz zaczęła... Różne końce Polski zawołały i z wymianą do Ukraińców zgłosiły się o tego niezwykłego żołnierza. A Ukraińcy nie wiedzieli zgoła i rozeznać zrazu nie mogli, o kogo jest to wołanie... Jedni bowiem z naszych żądali Lisa-Kulę, drudzy Jeleńskiego, trzeci, którzy z kijowskich byli szeregow, Czajkowskiego, inni znowu, cywile z pod Bobrujska, Malewskiego, a ostatni jeszcze, żołnierze z kor-

pusu I-go (to jest z korpusu generała Dowbora) — kapitana Kortyna. Wtedy dopiero najaw wypłynęły wszystkie nazwiska, pod którymi pracował Lis, każde z nich świetnem już i znanem uczynione tak bardzo, że każde wielką zasługą całe jedno życie uwieńczyć zdolne...

Echem radosnem zatrzęsło się młode wojsko polskie na wieść, że Lis wrócił, że u Komendanta już się meldował, że idzie znów do ognia...

Poszedł zaraz do ciężkich walk, jakie w zimie z 1918-go na 1919-ty rok toczył generał Śmigły pod Kowlem i nad Styrem. Lis-Kula, wnet majorem mianowany, bił się w wielu bitwach. On wziął Uhnów, Poryck, i zaraz siedem armat i trzydzieści karabinów maszynowych, i zaraz kupy jeńców.

Mówili koledzy, że dziwnie mu się tu jego długie nogi przydawały. Radzili też, na wypadek, gdyby Lis miał być kiedyś ranny, aby wybierał ranę w nogi, bo nic nie zaszkodzi, jeśli sobie nożyska ogromne przykróci.

Któż mógł wtedy myśleć, że sama śmierć taką mu ranę wybierze?!

Koledzy przekomarzali się, że do tych swoich pedałów ogromnych sposób wojowania przykroił, które polegało na tem, iż daleko na tyły nieprzyjacielskie zachodził i, gdy wróg ku przodowi się skupiał i wysiłał, Lis mu wypadem szalonym dalekie arterje przecinał i tak całego gnębił.

Właśnie w jednej z takich bitew śmiałych, za-



niesionej przez grząskie moczary daleko pod miasto Torczyn — zginął. Bił się tu w niespełna stu ludzi przeciw dwom pułkom piechoty, 15-u karabinom maszynowym i kilku baterjom.

Już zwyciężał! Koło pierwszej w nocy wdarł się był już do miasta. Już nawet armaty nieprzyjaciela za sobą pozostawił!

Biegł dalej. Napotczyli mu się po drodze trzech żołnierze ukraińscy. Dwóch z miejsca położył, trzeci na bliską odległość trafił majora Lisa powyżej pachwiny, przerywając tętnicę.

Pomnik ś. p. pułkownika Leopolda Lisa-Kuli, dłuta Edwarda Wittiga, w Rzeszowie.

Broczącego obficie krwią, przenieśli swego dowódcę wierni żołnierze, wśród ciągłej walki, rozgłosnych salw i wichru i srogiej ciemności do miejsca opatrunkowego.

Tu udzielono Lisowi pomocy lekarskiej. Major Lis-Kula, którego akurat w tym czasie Wódz Naczelny w Warszawie podpułkownikiem mianował — major Lis-Kula nie wiedział, że umiera. Pragnął żyć, mocował się ze śmiercią, — kazał sobie trzymać ręce dogóry, by krew pilnie napływała do słabnącego serca... Już prawie nie mógł mówić. I oto z rękami, które tak zawsze z przykrótkich rękawów we świat się rwały, teraz ku blademu świtowi wzniesionemi, — zataczało się czas jakiś istnienie podpułkownika, pomiędzy życiem, a śmiercią.

Gdy już krew jego dłoni walecznych wspomóc serca nie nadążyła, zgaśł nad ranem, skarżąc się jeno boleśnie na brak tchu.

Tak odprawił podpułkownik Leopold Lis-Kula pierwszy wiek młodości. Nie przybiwszy do bezpiecznego brzegu spokojnych lat, tak wszystko marzenie tego żołnierza spłynęła w krwi upływie. A już zaraz jutro, pojutrze, prędkiem skrzydłem złej wieści dmuchnęła żałoba po wszystkich naszych wojskach. Kulił się i mroczył, gdzie kto trwał na froncie, czy w koszarach. Bo przecież stała się straszna rzecz: zaryło się w ziemię, co tak szczerze rosło pod niebo samo!

Dnia 13-go marca 1919-go roku, na placu Saskim,*

* dziś plac Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, w Warszawie.

jeszcze po raz ostatni miało słońce wiosenne ob-
jąć zwłoki tego żołnierza i ostatni raz mieli tu
do nich przemówić towarzysze broni.

Czworobok doborowej piechoty stał murem i in-
nych wojsk oddziały. Trumna tonęła w kwia-
tach. Na niezliczonych wstęgach pułki, dywizje,
korpusy, bronie i zakłady wojenne wypisały naj-
czulsze i najdumniejsze słowa pożegnania, jak-
by wszyscy chcieli potwierdzić, że wdzięczna pa-
mięć jest zaiste pierwszem wianem nieśmiertel-
ności...

W wezbranym rytmie wszystkich napisów, które
u stóp tej śmierci, tak przedwczesnej, kładli lu-
dzie po wielokroć niezwykłego, najprostszym
i najrzeczniejszym tonem rozlegał się napis Wo-
dza, przez jedwabiste barwy Ojczyzny wypisany:

Memu dzielnemu chłopcu — Józef Piłsudski.

I tak ponieśli trumnę stąd, w słowach mowy
i w dymach salw i we wszystkich wstęgach otu-
loną, a potem ją dalej wieźli do ziemi rzeszow-
skiej, z której, jak wyszedł mając blaszkę
Piłsudskiego na czapce, — tak teraz wracał z tą
samą wciąż podobizną Wodza, wszystkimi ku-
lami wojny światowej oświstaną — na trumnie.
Nic zapobiec nie może tym żalom, które śmierć
Lisa wznieciła, lecz może złagodzić je zdoła, iż
w wolności, którą oddychamy, tętni krew tego
bohatera...

Że w wiosnie, która przed życiem naszym jest
rozwartą u wrót zdobytych, przoduje właśnie
ten duch, ów duch niewyczerpany i świeży —
jako majowy deszcz.

K O N I E C



6695/

1

